

NA SZKOLNEJ ŁAWIE

M I E S I Ę C Z N I K.

Pismo ostrowieckiej młodzieży szkolnej.

TREŚĆ NUMERU:

Młodzież.—W. J. Teatr i szkoła.—Jan Pękalski. Reportaż z wycieczki kolar-
skiej dookoła Polski.—J. Nowakowski. Z życia P. W. Moje loty na szybow-
cach.—Jan Adamek. Jak to na ćwiczeniach ładnie!—W. J. Szczęście—„Dziunia”
Dwa ciche stawy — Markiza. Kursy sanitarne — H. M. Wroński. Figury
przydrożne, stojące wzdłuż Alei 3 Maja — Stasia F. List absolwenta — C. K.
Obowiązek — Chochlik. Jesienna pieśń — „Ja”. Moja modlitwa — J. Nowa-
kowski. Szczęście — Ona. Humor. Mówią że... Kącik redakcji.

MŁODZIEŻ.

Rzecz dziwna: każdy z nas narzeka na szkołę, pragnie ją jaknajszybciej opuścić, twierdząc, że napotyka się tu tylko na różne przykrości . . .

Czy głosy te naprawdę płyną z głębi uczuć ucznia i czy naprawdę tak źle czujemy się w szkole?

Aby na to odpowiedzieć, wystarczy tylko jasno postawić sobie przed oczy fakt, powtarzający się corocznie, kiedy to uczeń wraca po wakacjach na szkolną ławę z wielkim entuzjazmem, radością i jest szczęśliwy, że wogóle mógł tu powrócić; to też z dobrem nastawieniem do wszystkiego, owiany nowym duchem, energicznie zabiera się do pracy z wiarą w jej owocność.

Bezprzecznie widzimy, że jest coś, co pociąga każdego z nas do szkoły, co nas z tą szkołą wiąże, jakby węzłami miłości rodzinnej...

Wspólna nauka, wspólne pokonywanie różnych trudności i wreszcie dążenie do wspólnego celu zbliża do siebie uczniów, którzy łączą się coraz to ciaśniejszemi wę-

złami przyjaźni, przyjaźni, która nigdy nie wygasa, a której siła jest doskonałym czynnikiem wzajemnego wychowywania się ludzi o silnych charakterach, którym nie będzie można przypisać rzeczy złych.

Często zdarza się, że wiele osób nie rozumie naszych dążeń i ideałów młodzież-
czych, a posądza nas o lekkomyślność i zakulisowość.

Zaprzeczymy temu sądowi nietylko słowem. Przez rozsądne postępowanie, które wskaże, że już teraz potrafimy sobie wytknąć drogę, wiodącą prosto do celu, udowodnijmy, że tkwi w nas siła moralna, nakazująca nam zło omijać, a kierować się dobrem.

Wypowiadajmy się w tych sprawach, bo myśl tylko wtedy się może rozwijać, kiedy jest wydobyta na światło dzienne.

Mamy przecież własne pismo, postarajmy się więc o to, aby było ono naprawdę odzwierciedleniem naszych myśli, dążeń i uczuć.

W. J. (Gimn. Męskie)

Teatr i szkoła.

Nauka języka polskiego w szkole średniej nie polega tylko na pogłębianiu wiedzy w literaturze narodowej, lecz także, a nawet bardziej może, na rozwinięciu w uczniach skłonności umysłowych i zmysłu piękna oraz utrwaleniu zasad moralno-etycznych. Przytem uczeń ma zdobywać to wszystko sam, a zadaniem nauczyciela jest mu tylko zapewnić odpowiednie warunki i odpowiedni nastrój. Na tem polu bezwątpienia wielką pomocą dla nauczyciela jest teatr.

Teatr szkolny posiada wybitne pierwiastki dydaktyczne. „Nudny” czasem tekst jakiegoś utworu w czytaniu nabiera na scenie życiowego powabu. Martwe postacie schodzą z kart i stają się na deskach sceny żywymi ludźmi. Widz, patrząc, ma wrażenie pięknej rzeczywistości, przez co ideę danego utworu dramatycznego może całkowicie utrwalić we własnej jaźni psychicznej.

Nie na tem jednak kończy się wartość i znaczenie teatru. Jest on jeszcze syntezą innych sztuk. Wszak akcja dramatu, czy komedji toczy się w pięknej grze światła, kolorów, plastyki i muzyki, która jest przecież mową duszy.

Ale przede wszystkim teatr jest tajemniczem misterjum żywego słowa. Słowo zaś wzmocnione jest odpowiednim gestem, mimiką, grą. W grze tej przejawia się ból, tęsknota za czemś nieznanem i pęd do piękniejszej i lepszej rzeczywistości. Teatr poddaje sugestji czułego i wrażliwego na piękno widza i stwarza dla niego czarowną wizję z bajki. A przecież wizja, jako objaw życia psychicznego, jest tż pewnym rodzajem rzeczywistości.

W temby więc tkwiło główne znaczenie teatru dla szkoły, a z tego znaczenia wypływa postulat utworzenia teatru szkolnego. Przytem postulat ten nie leży w kompetencji samego tylko polonisty. O estetykę serca ucznia, jaką daje teatr, zabiegają wiele i inni pedagodzy. Z tych względów

wszyscy oni gorąco popierają teatr. Jednak głównym czynnikiem w utworzeniu teatru szkolnego jest bezwzględnie młodzież, która, mając tę wspólną ideę, zdolna jest zdziałać na tem polu cuda.

Jan Pękalski. Gimn Męskie.

Reportaż

z wycieczki kolarskiej dookoła Polski.

Gdzieś jeszcze w początkach marca, nie wiem, czyto pod wpływem wiosennego słońca, czy poprostu z naszej żyłki włóczęgowskiej, zrodziła się myśl zwiedzenia Polski. Myśl ta nie opuszczała nas ani na chwilę. Ona towarzyszyła nam wszędzie, jak wierna małżonka, o niej też śniliśmy uroczne sny.

Markus — młodzieniec, odznaczający się piękną fryzurą i miną przynajmniej odkrywcy siódmej części świata, złotousty, nie z powodu ciceronńskiej wymowy jednak, ale raczej dla swych złotych zębów, Stefan i wreszcie ja — oto trójka nasza, która, śniąc o wycieczce, nie mogła doczekać się zakończenia roku. Czas jednak mknie naprzód i prędzej nawet, jak samiśmy się spodziewali, nadszedł dzień 15-go czerwca, dzień zakończenia roku szkolnego i rozpoczęcia naszej wycieczki.

Pamiętam, pogoda zapowiadała się marnie. Wprawdzie hen! na wschodzie nieznacznie i wstydliwie z za sinej opończy deszczowych chmur wykradał się ranek. Mieniając się purpurą, lśniąc na kroplach obfitej rosy rubinami krwi, to fioletem i szafirem na szerokiem morzu łak, strzelał jasnemi promieniami. Te, niestety, konały, grając tysiącem barw w gęstej tkaninie dżdżu, który w postaci nikłej chmury otulał ziemię, przejmując wszystko chłodem i wilgocią lub skraplając się, spadał w postaci drobnego deszczu. Ten dzwonił o szyby okien, łkał monotownie, jakby nas chciał zatrzymać, jakby chciał odwieść od zamierzonego celu. Nie zdołał jednak. Po spożyciu bowiem śniadania, na którym, z ru-

mieńcem wstydu przyznać się musimy, zapomnieliśmy, że obżarstwo jest grzechem, ruszyliśmy w zasnutą mgłą drogę, żegnani serdecznie przez rodziców Markusa.

Przed nami, po wydostaniu się z szanownych ulic Ostrowca, lśniła blademi kałużami biała wstęga szosy, nad którą tu i ówdzie dumały, drgając żółklemi liśćmi, obumarłe drzewa. Gdzieś na horyzoncie poprzez siną mgłę majaczył Ćmielów, a za nim czekała nas Polska z całą pięknością swych kwiecistych niw, z czarem nieznanym okolic, z zgiełkiem toczących się wód i wonią swych stuletnich lip. Czekala nas w cichej wiosce, w każdej wiejskiej chacie, w każdym niemal obliczu, w smętnej rzewnej śpiewce. Wygladała nas poprzez ruiny swych zamków — odległych przeszłości pamiątek, aby rzucić nam przed oczy tyśiące swych miast, miliony swych słomianych strzech, aby nam okazać swe piękno, swój urok i czar wiosnianych pól.

Wyjechawszy za Ćmielów, w którym, przyznać się muszę, z wilczym apetytem wsunęliśmy drugie śniadanie i nasłuchaliśmy się niemało żarcików kolegi Jasia na temat naszych rowerów i min, przez Ożarów i Annopol wlekliśmy się w stronę Kraśnika. Niebo tymczasem zasnuło się chmurami. Krajobraz górzysty, poprzecinany głębokimi parowami, tu i ówdzie pokryty lasami, majaczył smętnie poprzez siną kurzawę dżdżu.

Deszcz tymczasem rozpadał się na dobre. Zmokli, z twarzami pokrytymi płatami błota, z dumą jednak zdobywców, wkraczających do zwyciężonego miasta, wjechaliśmy do Maruszowa. Tu, w tej cichej, pełnej błota i wody wiosce, wypadł nam odpoczynek, po którym mieliśmy ruszyć hen! daleko za Wisłę.

d. c. n.

J. Nowakowski.
Gimn. Męsk.

Z życia P.W.

Staraniem Przystosobienia Wojskowego zostały zorganizowane kursy szybowcowe, w których wzięła udział i młodzież ostrowiecka. Z Gimnazjum Męskiego wyjechało dwóch kolegów: kol. kol. Adamek Jan, kl. VIII i Siemiątkowski Marjan, kl. VII.

Na kursie w Ustjanowej zdobyli oni kategorię A i B pilota szybowcowego, po-

czem kol. Adamek Jan powołany został przez Ministerstwo Komunikacji na Wyższy Kurs do Pińczowa. Tu w ciągu miesięcznego pobytu miał możliwość zdobyć kategorię C pilota szybowcowego i godnie reprezentować Ostrowiec. Oto przysłał on nam ciekawy artykuł:

Moje loty na szybowcach.

Nareszcie spełniły się marzenia mych lat dziecinnych, me niespokojne sny — latałem. Po miesięcznym kursie pilotażu zdobyłem kat. A i B, zaznałem wszystkich rozkoszy lotu, tego dziwnego uczucia, które nawiedza każdego, kto trzyma rękę na drążku sterowym i szybuje, gdzie chce, panuje nad maszyną. Najmniejszy ruch drążka — a ona posłusznie kładzie się w wiraże, ślizgi, trawersy, wlatuje ku nie-

bu, to znów opada. Ale loty te były stonkowo krótkie, to też ucieszyłem się bardzo, gdy mnie powołano na wyższy kurs kat. C. Tu można już latać godzinami i zaznać lotu w całej pełni. Na tem też miejscu mam zamiar koleżankom i kolegom opisać jeden z mych lotów, a może zachęci to niejedną i niejednego do odbycia pilotażu szybowcowego. (Płeć piękna dorównuje, a niejednokrotnie przewyższa zdolnościami płeć brzydką).

A więc:

Był wietrzny dzień. Chmury czarne kłębiły i przewalały się po niebie. Wicher to dla nas raj. Każdy marzył, by mu dano dzisiaj lot. Nie miałem nadziei, abym poleciał, bo daleko jeszcze było do mojej kolejki, aż tu słyszę: „Siadaj pan do maszyny”. Z radością wielką wskoczyłem do kabiny, przypasałem się, chwyciłem drążek sterowy, oparłem nogi na orczyku i czekam..

Łąduje oto poprzednia maszyna.

Start wolny!

Sakramentalne:

— Ogon gotów?

— Gotów!

— Liny gotowe?

— Gotowe!

— Naciągaj! Biegiem!! Puść!!!

I wystrzeliłem świecą wgórze. Wicher wskoczył na skrzydła, przywarł do kadłuba i zaczął trząść nim, jakgdyby go rozerwać chciał i zniszczyć, a mnie zrzucić na ziemię. Kopnąłem orczyk, dałem lewej lotki. Maszyna posłusznie położyła się do „amerykana” i siłą napędu szła ku górze, nachodząc powoli nad zbocze wzniesienia. Wyrównałem. Spojrzałem wdół

Na starcie daje mi instruktor ręką jakieś znaki. Zawracam w głębokim wirażu, zniżam lot, słyszę wyraźnie: „Niech pan nadlatuje więcej nad zbocze”. Dobrze — odkrzyknąłem; ściągnąłem lekko ster. Maszyna nagle „spuchła” z 15 m. Ściągnąłem drugi raz, przeliczyłem się, podmuchu nie było. Maszyna przepadła, jakby w próżni. Straciłem na wysokości i dostałem się w wiry. Zaczęło mną rzucać — to wgórze, to wdół, maszyna zaczyna się chybotać i trząść, linki gwizdzą, a wicher bije o kabinę, wdziera się do wnętrza, chwyta za twarz, ręce, jakby chciał mnie obezwładnić i rzucić na ziemię. Po pewnym czasie prądy wstępujące poniosły mnie wgórze. Ludzie stali się małymi stworzonkami. Wysokość 500 m. Czuję coś dziwnego w sercu, jakaś radość wielka wywołuje śmiech, — szczerzy głośny, śmiech szczęścia.

Tak świat inaczej wygląda z wysokości tych 500 m.; kratownica pól, dachy

domów i białe plamki twarzy ludzi, patrzących do góry. Na tej wysokości panował względny spokój. Lot równy, maszyna lekko kładzie się za ruchem sterów. Dotknąłem napiętej linki szturmowej. Brzęknęła cicho. Spikowałem ku ziemi. Rozgwizdały się linki w nadmiernej szybkości. Ściągnąłem maszynę jak rozhukanego konia, wystrzeliła świeca i znowu nabrałem wysokości.

Zacząłem spokojnie krążyć nad zboczem góry i rozkoszować się lotem. Patrzę na dół, widzę koło na ziemi. Oho — znak lądowania. Miałem jeszcze dużą wysokość, nie chciałem jej wytracać ślizgami. Zobaczyłem wdali wioskę. Obliczyłem sobie w myśli, że zdążę jeszcze dolecieć do niej i wrócić. Poszybowałem. Nad domami położyłem maszyną w wiraż, zawróciłem i po paru minutach lądowałem na polu przy starcie. Jak się później dowiedziałem, latałem godzinę, a zdawało mi się, że to tylko parę chwil upłynęło.

Jan Adamek.

pilot szybowcowy (Gimn. Męsk)

„Jak to na ćwiczeniach ładnie!”

Najgorsze ćwiczenia wojskowe są bądź co bądź nieco lepsze, niż pięć godzin „kutyń” lekcyj. Z tego powodu oświadczenie władz: „Jutro są całodzienne ćwiczenia P.W.” przyjęto z niesłychanym entuzjazmem.

Głośne: „Słyszałeś, jutro lekcyj niema!” — rozbrzmiewało coraz częściej.

A jutro szybko przyszło.

Ćwiczenia nie przedstawiały się tak bardzo źle, bo, jeśli kto „dostał w skórę”, nie tracił fantazji i dalej bawił wszystkich swoim wspaniałym humorem. Przynajmniej tego było poddostatkiem: już zaraz na początku wystarczyło popatrzeć, jak ci młodzi junacy dobierali sobie „bluzy, spodnie (które ktoś ztyłu naprzód włożył), furazerki, pasy i t. d. a już nie można było powstrzymać się od śmiechu. Jednak szybko do porządku przywołała nas władza i wkrótce maszerowaliśmy z karabinami przez miasto do lasu, gdzie czekał na nas p. Porucznik. Chętnie rozkazał jego: „Na... ziemię siad!” wypeł-

niliśmy. Wkrótce nastąpiły wyjaśnienia, dotyczące ćwiczeń, a później ich wykonywanie:

Pierwsza grupa (dość liczna bo trzeba zaznaczyć, w ćwiczeniach brały udział wszystkie hufce szkolne) udała się, rozstawiając po drodze swoje strażę, w okolice Kunowa, gdzie zajęła swoje stanowisko, którego bronienie było jej zadaniem.

Cel drugiej grupy był nieco trudniejszy: musiała bowiem posuwać się marszem ubezpieczonym, a następnie zdobyć placówkę nieprzyjacielską. Grunt to, że mogliśmy przytem robić dużo huk, bo uprzednio rozdano nam naboje (na szczęście ślepe).

Najgorsze zadanie do wykonania mieli „szperacze“, bo ciągle prawie bieganie na słońcu i przytem (według polecenia dowódcy) „wykorzystywanie wszystkich dziur“ w terenie nie było faktycznie rzeczą łatwą — szczególnie dla nowicjuszy, wszelkiego rodzaju niezdarów lub tych, którzy podczas pełnienia tak ważnej funkcji pożywali się. To też nie życzyłbym nikomu być w ich skórze wtedy, gdy dowódca nasz po skończeniu ćwiczeń „delikatnie“ omawiał popełnione błędy.

Do ważniejszych wydarzeń dnia należy to, że uzyskaliśmy przeszło godzinę przerwy, podczas której zato całkowicie zrehabilitował się jeden z nieszczęsnych szperaczy (co to głodny był), świetnie szukając takiej „dziury w terenie“, gdzie możnaby się uczciwie pożywić. Faktycznie, — mleko było wspaniałe, tem bardziej, że wlewała je delikatna rączka, długo potem machającą chusteczką za odchodzącymi już junakami (ten szperacz widocznie wpadł jej w oko).

Pokrzepieni na duchu i ciele, solidnie wykonywaliśmy ćwiczenia podczas powrotnej drogi: do tego stopnia byli niektórzy przejęci swoją funkcją, że jeden ze szperaczy, który niebacznie wpadł w zasadzkę i został schwytyany, wołał raczej . . ., rozplakać się i zmusić tem nieprzyjaciół do ustąpienia, niż tak haniebnie skończyć w niewoli.

Po powrocie wydał się niezmiernie dla uszu miłym (z powodu zmęczenia) rozkaz: „rozejść się“, mniej zato przyjemny był na grugi dzień na lekcji matematyki, czy historii głos profesora. „Siadaj, nic nie umiesz!“

W. J. Gimn. Męskie.

S z c z ę ś c i e .

Biały zamek dziwnie wzniosł swe rzeźbione misternie baszty ku niebu. Zieleń drzew stroiła mu stopy w żywy kobierzec, a w jesieni, kiedy szary smutek przedęsnu po polach rozwłóczył, stawał w krwawej otoce ostatnich, żarem słońca przepalonych liści.

Do zamku żadna nie prowadziła droga. Zdawało się, że życia w nim nie było, choć wokół kwitł wieniec parku i majem rozwijały się kwiaty. U stóp góry zamkowej, tam, gdzie w szumiącym poszepcie strumyk płynął, stała maleńka biała chatynka. Był maj. Dzień się do życia budził radosny. Na spęczniałych seledynem gałązkach widać było srebrne kropelki rosy.

Przed chatą maleńką wyszła dziewczyna. Złote warkocze wstrząsnęła, i oczy,

stulone przed chwilą snem, rozwarła uśmiechem, jak słońce radosnym. Usta miała prześliczne czerwone, jak róży pąk, i takie dziewczęce, radosne, co tylko najlepsze umieją mówić słowa i tylko smutką pieszczotą osładzać.

Rozejrzała się szeroko i wzrok jej, siłą przypadku, musiał paść na biały, wyniosły zamek. W tej chwili jakiś dziwny zmierzch padł na jasne dziewczęce oczy. Przypomniała sobie, jakto wczoraj, kiedy przy płomieniach purpurowych zórz w zachwyconym podziwiewie żegnała na jedną tylko noc słońce, tam z dalekiego zamku nadpłynęła ku niej przesmutna pieśń. Pojedyncze dźwięki, rozbite i podwójne na falach odległości złączone, niosły taki ogrom bolesnej tęsknoty, taki szarpiący rozdźwięk, że jej jasna radość pierzchła, jakby zduszoną gdzieś zdala nadbiegłą wieścią o smut-

ku. Nie wiedziała czyjego to serca ból . . . ale pewno tej cudnej pani, którą raz jeden, a dawno już, widziała. W oknie wysokiej wieżycy stała . . .

Krucze włosy, oplecione sznurem pereł, wiatr pieścił, a ona białe rączki, załamane niewoli troską, raz wraz do oczu podnosiła, może słony deszcz łez strząsając... Niezmierną boleść łyż te wycisnąć musiała, bo gdziekolwiek kropla ich padła, tam kwiaty, schylając główki, więdły. — Nie wiedziała dziewczyna, jak zaradzić smutkom owej zamkowej pani. Nagle głos, gdzieś jakby koło niej, wyszeptał wyraźnie: „Szczęście swoje jej daj, a płakać nigdy nie będzie”. Zamyśliła się głęboko. Jakże to? Ona ma dać swoje szczęście jakiejś nieznanej? I cóż ona jej dać może? W tej chwili od strony strumyka usłyszała radosne tony pastuszej fujarki.

Radością roześmiały się oczy dziewczyny.

To jej Jaśko! Najdroższy chłopiec jej! O już idzie do niej. „Hej, hej, Haniuś moja! a chodź ino tu!”. Jużby była pobiegła do niego, ale ów głos tajemniczy szeptał znowu: Szczęście swoje jej daj Spochmurniała twarz Hanki. Zrozumiała, że jedynym jej szczęściem jest on, Jaśko. I jakże? miała go tamtej oddać? Chwila ciężkiej walki przetoczyła się przez serce jej.

Egoizm czysto ludzki i pragnienie uszczęśliwienia drugich wypierały się nawzajem. Aż sama siebie zwyciężyła. Podeszła do chłopca i, kładąc mu ręce na ramionach, rzekła cicho: „Ty musisz tam pójść do niej, Jaśku, tam do tej samotnej pani w zamku; graj jej na swojej fujarce i smutne oczy rozweselaj, żeby już nigdy nie płakały”. Wiedziała jednak, że jeśli on tam pójdzie, nigdy już do niej nie wróci. „A dobrze, Haniuś, pójdę, jeśli chcesz, ale do Ciebie wnet tu przywrócę”.

I długo patrzyła za oddalającym się Jaśkiem. W pewnej chwili serce jej przeszył ostry, pękający ból, a w oczach zabłyśły łzy.

„Dziunia“ Gimn. Żeńskie.

Dwa ciche stawy.

Dwa ciche stawy i trzy smutne wały
I dużo, dużo fal, — tysiączne sploty,
Fal, co pod łodzią posłusznie się stały,
Jak lśniący roztop, szmaragdowo-złoty.

Dwa ciche stawy i trzy smutne wały
I wierzb staruszków owisłe konary
W słońca promieniach radośnie szemrały
Jakby zaklęcia lub tajemne czary.

Dwa ciche stawy i wały w zieleni,
A ponad niemi w mgieł tiuły okryty
W falach leniwych kapie się i mieni
Arlakin, w drzące obłoki spowity.

Dwa ciche stawy — i smutne opary,
Jakgdyby modły, pną się pod niebiosa
W przestwór milczący, błękitnawo -- szary,
W przestwór łagodny jak warkoczy włosy.
Jest coś, co chwile często smutne słodzi,
Jest coś, co oczy moje ukochały,
Coś, co swym źródłem żar serca ochłodzi,
Dwa ciche stawy -- i trzy smutne wały.

„Markiza“ Szk. Handl.

Kursy Sanitarne.

Biją dzwony. Z kościoła wyrusza orszak pogrzebowy. Za trumną dwóch ludzi prowadzi czarno ubraną kobietę. Szepcząc coś zbieletemi wargami, idzie ona bez kropli krwi na zmęczonej twarzy, złamana moralnie i fizycznie. — Bo oto na marach wiodą jej jedynego syna, całą jej nadzieję i pociechę.

„Taki był dobry, wesoły... Jednego dnia poszedł się kąpać, w wodzie złapał go kurcz. Zdołał tylko krzyknąć „ratunku” i poszedł na dno. Skoczyli ludzie, po kilkunastu minutach wydostali go na wierzch. Zaczęli trzeć, huścić — bezskutecznie. Gdy po pewnym czasie zjawił się lekarz i zastosował właściwe środki, było już za późno. Więc już nigdy go nie zobaczę, zawsze pozostanę na świecie sama między obcymi ludźmi. Pocóż żyć! Ach!”

Zemdląta.

Podobne wypadki zdarzają się bardzo często. Śmierć zabiera tysiące ludzi, dlatego tylko, że niema wówczas nikogo, który wiedział, co robić.

Pragnąc w miarę swych sił i możliwości zaradzić temu, Koło P.C.K. przy Gimn. M. organizuje kursy sanitarne, kursy sanitarne, których zadaniem będzie wydać gromadę dyplomowanych sanitariuszy, którzy w razie wypadku umieliby zaradzić złemu.

Ponieważ żyjemy ciągle pod grozą wojny, w której nieprzyjaciele gazami będą się starali szkodzić także ludności cywilnej, przeszkolenie obejmuje także i ra-

townictwo gazowe. Albowiem i wtedy szybka i fachowa pomoc napewno dużo pomoże

Wobec powyższego proszę Kolegów o zapisywanie się na kursy.

Warunek przyjęcia: przejście kursu przyrody klasy V (o „człowieku”) z wynikiem dodatnim.

Wszyscy bądźmy sanitariuszami P.C.K.!

H. M. Wroński. kl.VI.
prezes Koła P.C.K. przy Gimn. M.

Figury przydrożne, stojące wzdłuż Alei 3 Maja.

W Ostrowcu znajduje się dość dużo figur i krzyży. Najwięcej ich znajduje się na ulicy Alei 3-go Maja i te są najładniejsze. Gdy dochodzimy z ulicy Traugutta do Alei, to zaraz na jej początku widzimy duży krzyż. Odznacza się on bardzo, gdyż jest wysoki, pomalowany na ciemno-żółty kolor. Rozpięty na nim Chrystus zda się błogosławić tym wszystkim, którzy, przechodząc, pozdrawiają Go. Krzyż jest wzniesiony na trzech stopniach postumentu, a u jego stóp znajduje się biała trupia głowa, która budzi u przechodniów wstręt a zarazem strach. Cały krzyż ogrodzony jest ładnym, pomalowanym na czarno, żelaznym płotkiem, który chroni go przed zniszczeniem i nadaje mu piękności. Od strony jezdni widnieje na nim napis „D. O. M. Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony, przez nieskończone wieków miliony. Błogosławiony, kto na widok krzyża pobożnie duszę i głowę zniża”.

Po drugiej zaś stronie: „Na cześć i chwałę Panu Bogu, na pożytek bliźnim: Wojciech i Marjanna Skwarkowie. Włościanie wsi Ostrówka figurę tę wystawili dnia 8 sierpnia 1844 r. Jezul miej żyjących w obronie i daj pokój po zgonie”. Widzimy więc, że krzyż ten jest już stary, a jednak piękny. Idziemy dalej: Po lewej stronie Alei znajduje się inna figura, mianowicie figura Matki Boskiej. Jest dosyć wysoka. Figura ta jest postawiona na dużym kamieniu w kształcie prostopadłościanu, Nisko, u jej stóp, są szklanki z ładnymi kwiatami, które przystrajają figu-

re. Jest ogrodzona żelaznym płotkiem, pomalowanym na czarno. U góry znajduje się lampka elektryczna, która w nocy oświetla figurę. Dzikie wino rozkłada swe delikatne gałązki na ogrodzeniu, za którym rośnie zielone drzewo akacji. Na jednym z boków jest napis: „Matko Boża zlituj się nademną! 1868 r.” Samą figurą Matki Boskiej jest śliczna: w złoczonej koronie, w niebieskiej szacie ze złożonymi rękoma, Matka błogosławi swym dzieciom, które Ją o to proszą.

Niedaleko stąd znajduje się krzyż, a na nim figura Pana Jezusa. Prawdopodobnie wystawili go robotnicy Ostrowca, gdyż widzimy napis: „Boże Przedwieczny, pobłogosław pracy górników ostrowieckich 1881 r”. Dookoło niego rosną kwiaty, które ludność sadi, w celu przystrojenia i upiększenia świętej figury. Przy końcu Alei jest jeszcze jedna figura św. Jana. Figurę tę odnowili prawdopodobnie robotnicy fabryczni, gdyż jest napis następujący: „Odrestaurowano od współpracowników Zakładów Ostrowieckich Górniczych 1905 r. Boże błogosław ich pracy!” A od jezdni: „Anno Domini 1776 exerit Franciszek Szymański i Regina Conjugesit”. Figura ta jest bardzo ładna. Św. Jan trzyma w ręku krzyż, a nokoło figury rosną malwy. Jest otoczony żelazną balustradą, pomalowaną na szaro.

Oto kilka drogich pamiątek Ostrowca, świadczących o pobożności jego mieszkańców.

Stasia F. Gimn. Żeńskie.

List absolwenta.

Jak się masz, stara Szkolna Ławo!

Piszę do Was zdaleka, bo że z Warszawy; fakt to jest niebywały, aby świeżo upieczony student chciał jeszcze utrzymać kontakt ze swą „budą”, a tembardziej ze szkolnem pisemkiem, które zapewne od ubiegłego roku niewiele się zmieniło i wie-dzie, jak ongi, smutny rachityczno-suchotniczy żywot. Ale, jakem C. K., wierzajcie mi, szkolne czasy nie są tak złe, jak się Wam, z utęsknieniem wyglądającym matu-ry, wydaje i nie należy zbyt pohopnie ich się wyrzekać. Wróćcie jeszcze do nich, my-ślami, wróćcie!

Podobno w Redakcji bardzo mię czule (poniewczasie) wspominają, dlatego też się czuję moralnie zobowiązany zapłacić lukę, która z mej przyczyny powstała. Otóż, moi mili, jeśli tylko chcecie, mogę przyjąć obo-wiązki nadzwyczajnego korespondenta z Warszawy. Tego jeszcze nie było, co? Chociaż.. może, jako absolwent, nie mam już prawa zabierania głosu w pisemku? W takim razie pardon — i żegnajcie! Ale po-nieważ narazie nie mam nic lepszego do roboty, posyłam Wam garść wrażeń z po-bytu w stolicy; chcecie—to zamieszczajcie, a nie—to nie...

Pierwszą rzeczą, na którą pada spoj-rzenie podróznego, przybywającego do sto-licy, jest oczywiście—dworzec. Dworzec Główny—to niby kościół ostrowiecki na większą skalę: ciągle się go muruje, buduje i wykończyć nie może. Obecnie robotnicy pracują dzień i noc, na trzy zmiany, żeby skończyć roboty murarskie przed nastaniem mrozów. A kiedy zawisną dzwony na ostro-wieckiej wieży? Gdy wyjechałem z Ostrow-ca, była właśnie zbiórka na kościół; a płac-cież prędzej zacni parafjanie, bo wam do śmierci będą wróbelki przeszkadzały mo-dlić się. Ale wróćmy do Warszawy. Otóż, wysiadłszy z pociągu, ładuję się z tobołami do taksówki (chyba pierwszy raz w życiu!) i ja-

dę do znajomych. (W tem miejscu należy parę słów poświęcić traktatowi o t. zw. „znajomych”). Znajomi, są to naogół ludzie tem różniący się od innych, że mają uzur-powane prawo zaczepienia nas na ulicy, wchodzenia nie w porę do naszych miesz-kań i udzielania o nas nieścisłych informa-cyj osobom trzecim. Jak widzimy, jest to gatunek ludzi mocno szkodliwy, i, miejmy nadzieję, skazany w miarę postępu cywili-zacji na wymarcie.

Ale jest drugi gatunek znajomych, za-mieszkujący inne miasta, a szczególnie licznie Warszawę; gatunek ten zupełnie słusznie cieszy się wielkiem poważaniem, szcze-gólnie na jesieni, kiedy, zapisawszy się na wyższą uczelnię, trzeba skolei myśleć o znalezieniu chwilowego schronienia; Wtedy walisz, jak w dym, do owych znajomych, śpisz tam i jesz, uważając tylko, aby twój prowincjonalny apetyt nie zachwiał zbytnio budżetu zaprzyjaźnionego domu...

Spędziwszy pół dnia na wypisywaniu z Kurjera adresów „pokojów kawalerskich z wygodami do wynajęcia”, ruszasz na miasto. O, nędzo warszawskich pokojów do wynajęcia! O, niedorzeczności pseudo-wytwornych, a w gruncie rzeczy do niczego nioprzydatnych gratów, któremi są owe pokoje umeblowane!

Kanapki na krzywych nóżkach, etażerki z drobiazgami, krągłe stoliczki... wszystko to jest, ale brak rzeczy najpotrzebniejszych, jak umywalka, szafa i porządny stół. I te ceny! Na Filtrowej za pokoiik 2×4 m. chciano 80 zł, na Mokotowskiej 60, na Pięknej przyjęła mnie rodowita Francuzka z pół tuzinem piesków. Francuzka była uprzejma, pieski mniej, przytem okazało się, że do łazienki trzeba chodzić przez pokój gospo-dyń, wobec czego powiedziałem jej grzecz-nie „an rewoir” i poszedłem, tknięty szczę-śliwą myślą, do Domu Akademickiego.

d. c. n

C. K.

Obowiązek.

— Tadzio! Tadzio! idziemy z mamusią do kina. Ubieraj się, przedziutko, prędzej! Tadzio położył piłkę, którą naprawiał, i spojrzął na siostrzyczkę i mamę: — Jeszcze nie odrobiłem lekcyj, mamusi; myślałem, że dużo mam czasu. — Szkoda, — powiedziała mama — ja miałam ochotę zabrać was oboje, a tak musisz zostać, gdyż obowiązek pierwszy, potem przyjemność. Tadzio opuścił smutnie głowę, ale Marysia zaczęła całować mamę po rękach, prosząc, by nie gniewała się na Tadzia. — Ja się wcale nie gniewam — rzekła mama — i bardzo mi żal Tadzia, lecz pójdzie kiedy indziej. — Do widzenia, Tadzio! — zabierz się do lekcyj, pa-pa. Tadzio po wyjściu mamy siedział smutny i zamyślony. O, Boże! jakże się zabrać do lekcyj? Na dworze tak ładnie, tylu kolegów! O, Boże! dopomóż. Wtem przez otwarte okno doleciał go głos znajomy. To Józek! Ten świetny uczeń gra w piłkę. — No tak — on może — pewien jest dobrej noty z końcem roku szkolnego. Lecz ja nie zasłużyłem na to, by teraz się radować. — Tadzio! Tadzio! — rozległo się wołanie. To koledzy wołają. Tadzio, słysząc to, zerwał się z krzesła i już chciał iść, nie odrobiwszy lekcyj, lecz jakaś siła niewidzialna przykuła go do miejsca. Tadzio po długiej chwili walki wewnętrznej wrócił do stołu i zabrał się do lekcyj z postanowieniem, że nie zaniedba swych obowiązków. Niestety, pozostał w tej samej klasie, bo już w tydzień po opisanym wypadku nastąpił koniec roku szkolnego. Za późno zabrał się do pracy. Ale zwyciężył samego siebie.

„Chochlik“ kl. II Gimn. Żeńskie.

Jesienna pieśń.

Posypał się na ziemię deszcz liści zwiedłych, liści złotych, brunatnych, czerwonych.

Wśród tej złocistej ulewy jakoś dziwnie uroczyście i smutnie brzmi śpiew ptasząt. Jest on jakby nokturnem żalobnym, żęg-

nającym kogoś, kto ginie lub umiera. Wiatr smutnym głosem zawodzi i jęczy swe jesiennie odwieczne melodje. Gorące plamy czerwonej jażebiny jaskrawo odbijają się od ogólnego tła. Są jak rany świeżo zadane, z których krew płynie równym strumieniem i które ciągle ktoś rozdrapuje.

Jesiennie szaty przybrały pola, ogrody, lasy i łąki. Chłodny wicher zmroził kwiaty, zmroził liście. Lecą one na ziemię, lecą cicho, bez skargi, bez jęku. Taki ich los.

I tak co rok na ziemiach rozbrzmiewa jesienna pieśń. Jest ona bardzo smutna, ale prawdziwa. Dużo, dużo istnień kończy żywot, dużo kwiatów ginie, dużo marzeń wędnie w jesiennym mgle, dużo skarg płynie w przestrzeń, podobnie jak nici babiego lata, które tak lekko i subtelnie snują się w powietrzu.

Jesienna pieśń wydzwania zbliżający się kres życia i zapowiada, że niedługo nastanie biała iskrząca się tysiącami dżamentów ziemia.

„Ja” S. H.

Moja modlitwa.

Żalność i smutek gdy duszę pochłania
I bladym błyska z oczu cieniem,
Boże! ukróć zły doli odchłanianie
Wielkich Twych rzeczy widzeniem.

Miłości wiecznie gorejące wzkaż znicza
I wzbudź me serce—niech mocniej zabije,
Niech płonie—jasnością Twojego oblicza,
Niech kocha piękno, niech niem tylko żyje

Dobroci Twojej ukaż mi ogromy—

Litości — bezkresu głębiny . . .

Co świat ratuje i odwraca gromy —

Otwiera niebieskie Ludzkości krainy.

Pokaż mi, pokaż wszystkie ziemskie dusze,

Które raczyłeś prowadzić przez ciernie,

Któreś wywyższył ponad wielkość naszą,

Coś je uświęcił cierpieniem niezmiernie.

Dziś one szczęsne pomiędzy anioły—na

wieki

— Skowane wspólnymi ogniwy świętości,

Nie znają smutku—ten od nich daleki,

Nie znają cierpień—nie znają nicości.

A może wtenczas grom smutek rozedrze
I żalu chmury — odpłyną . . .

A może wtenczas od duszy się wedrze

Anioł spokoju że szczęścia drobina.

J. Nowakowski Gimn. Męskie

Szcęście.

O, szczęście! gdzie ty jesteś,
 W której świata stronie?
 Czy blisko, czy daleko,
 Czy gdzieś w nieboskłonie?
 O, szczęście! gdzie ty jesteś?
 Czy w kwiatuśkach w maju,
 Czy w śpiewie ptaszków,
 Czy w drzew szumie w gaju?
 O, szczęście! gdzie ty jesteś?
 O, szczęście! gdzie cię szukać?
 Czyli w promieniach słońca,
 Czy w blasku gwiazd,
 Czy w złotych promieniach miesiąca?
 O, szczęście! gdzie cię szukać?
 Czy w szumie strumieni,
 Czy w fali wody lśniącej,
 Czy w wiatrach jesieni?
 O, szczęście! gdzie cię szukać?
 O, szczęście! tyś tak dzisiaj potrzeb-
 ne każdemu.
 Odezwij się, o szczęście!
 A ty milczysz. — Czemu?

„Ona“ Szk. Handl.

HUMOR.

Uczeń: — Panie profesorze, co to jest właściwie nieskończoność?
 Profesor: — Nieskończoność to taki okres czasu, jakibym musiał zużyć na wytłumaczenie ci tego pojęcia.

Mówią, że:

... każdy prymus powinien wieść prym na Alei.
 ... należy powiększyć skrzynkę redakcyjną z powodu nawału artykułów.
 ... potrzebny jest tłumacz do wierszy łacińskich Horacego.

kl. VIII. Gimn. Żeńskie.

... „Straż Przednia“ ma objąć w swój zarząd większość sekcji „Bratniej Pomocy“.

... biblioteka główna powinna być otwarta dla kl. VIII codziennie.

... do zarządów sekcji i różnych organizacji powinni wchodzić uczniowie przedewszystkiem ci, którzy chcą(!) pracować.

... powinna być na terenie wszystkich szkół zorganizowana i poprowadzona energicznie sekcja artystyczna.

Gimn. Męskie.

Kącik redakcji.

Ze względu na brak artykułów dopiero teraz mogliśmy numer pisemka za m-c wrzesień - październik wydać. Aby na przyszłość tego uniknąć, zwracamy się do Wszystkich z prośbą o szybsze i obfitsze nadsyłanie prac. Chodzi nam przedewszystkiem o takie artykuły, któreby odzwierciedlały życie uczniów. W wyborze tematów proszę się kierować podanem przez redakcję poszczególnych szkół ogłoszeniem.

Podajemy do wiadomości, że obecnie nie będziemy umieszczać odpowiedzi redakcyjnych w numerach pisemka, lecz będziemy je udzielać także na terenie poszczególnych szkół zapomocą ogłoszeń.

Jak wiadomo, ogłaszaliśmy z początkiem roku szkolnego konkurs na „początek powieści“. Myśl ta nie cieszyła się widocznie powodzeniem, gdyż prace nie nadchodziły. Zwracamy się zatem jeszcze raz z prośbą, abyście, Koleżanki i Koledzy, przyczynili się do zrealizowania tej myśli.

Jeżeli chcemy widzieć nasze pisemko ciekawem, piszmy, piszmy i jeszcze raz piszmy do niego wiele!

Uwaga! W zeszłorocznym konkursie, ogłoszonym w dziale rozrywek umysłowych, pierwsze trzy miejsca zajmują kol. kol. T. Bieganowski, L. Barański, R. Nowicki, uzyskawszy po 40 punktów. Kolegom tym została przyznana nagroda w postaci książek.

REDAKCJA { Życki W.
 Wójcikowska B.
 Kwiatkówna M.

ADMINISTRACJA { Pękalski J.
 Guzerówna J.
 Szlochówna K.

Wydawca: Bratnia Pomoc Uczniów Państw. Gimnazjum Męskiego w Ostrowcu.